

OSTRA, ZABAWNA I PRZEJMUJĄCA.
HILARY MANTEL



MARGINESY



Disobedience

COPYRIGHT © Naomi Alderman 2006

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Ewa Krasińska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2019

Moim rodzicom

A w szabat kapłani śpiewali pieśń dla przyszłości, która ma nadejść, dla dnia, kiedy nastanie nieprzerwany szabat i odpoczynek wiecznego życia.

Fragment traktatu *Tamid z Miszny*, recytowany podczas porannego nabożeństwa w sobotę

Przed ostatnim szabatem miesiąca tiszri raw Krushka był już tak bladej i wychudzony, iż wierni szeptali, że z jego oczu wyziera tamten świat.

Raw przeprowadził wiernych przez cykl wielkich świąt i chociaż oczy uciekały mu w głąb, jakby lada chwila miał zemdleć, wytrzymał do końca ostatniego, dwugodzinnego nabożeństwa Jom Kipur. Podczas Simchat Tora wykonał nawet taniec radości z rodakami, co prawda trwający tylko parę minut. Kiedy jednak minęły wielkie święta, siły wyraźnie go opuściły. W ten parny i duszny wrześnieowy dzień, kiedy przy zamkniętych oknach krople potu rosily czoła zgromadzonych, wspartego na ramieniu siostrzeńca rawa otulał wełniany paltot. Mówił słabym głosem. Ręce mu drżały.

Rzecz była jasna. Była jasna nie od dzisiaj. Głos rawa, niegdyś czysty i mocny jak kiduszowe wino, brzmiał teraz ochryple, przechodząc chwilami w zgrzytliwy kaszel, przerywany atakami dławienia się i krztuszenia. A jednak trudno było uwierzyć w tajemniczy cień na jego płucach. Kto widział cień? Jaki cień? Wiernym nie mieściło się w głowach, aby cień mógł pokonać rawa Krushkę – człowieka, od którego światło Tory biło tak jasnym blaskiem, że sami czuli się w nim skąpani.

Wśród członków gminy krążyły pogłoski przekazywane z ust do ust podczas przypadkowych spotkań na ulicy. Podobno specjalista z Harley Street powiedział, iż raw wróci do zdrowia, musi tylko choć przez miesiąc odpocząć. Nadeszła wiadomość, że słynny rabin modli się codziennie wraz z pięciuset studiującymi Torę młodzieńcami o szczęśliwe ozdrowienie rawa Krushki. Opowiadano o proroczym śnie, w którym powiedziano rawowi, iż dożyje dnia położenia kamienia węgielnego pod budowę bejt ha-midrashu w Jerozolimie.

A jednak raw był z każdym dniem coraz słabszy. Wieść o pogarszającym się stanie jego zdrowia obiegła Hendon i rozeszła się dalej. Wierni, którym naturalną koleją rzeczy zdarzało się niekiedy opuścić cotygodniową wizytę w synagodze albo pójść na inne nabożeństwo, zaczęli teraz nader gorliwie odprawiać religijne praktyki. Liczba obecnych rosła z tygodnia na tydzień. Niepozorna synagoga, sklecona byle jak z dwu połączonych ze sobą, wyburzonych od środka bliźniaczych domów, z trudem mieściła nieoczekiwane tłumy. Podczas nabożeństw panował w niej zaduch, rosła temperatura, rozchodziły się nieprzyjemne zapachy.

Poniekąd członkowie rady synagogalnej zastanawiali się, czy dla nadprogramowej liczby wiernych nie należałoby wprowadzić dodatkowych nabożeństw. Pomysł został jednak stanowczo odrzucony przez przewodniczącego radzie Hartoga. Ludzie przychodzą, żeby zobaczyć rawa, oświadczył, i nie będzie im to odebrane.

Toteż w ostatni szabat miesiąca tiszri synagoga znowu pękała w szwach, wierni zaś, trzeba to ze smutkiem stwierdzić, poświęcali osobie rawa więcej uwagi niż adresowanym do Stwórcy modłom. Przez cały ranek niespokojne spojrzenia śledziły każde jego poruszenie. Co prawda Dovid ani na chwilę nie odstępował wuja, podpierał go prawym ramieniem i trzymał przed nim sidur. Czy jednak, szeptali ludzie, obecność kogoś takiego jak on nie pogarsza stanu zdrowia chorego, zamiast dodawać mu sił? Dovid był wprawdzie rabinem, tego mu nie odmawiano, ale nie był rawem. Istnie-

je tu subtelna różnica, gdyż rabinem zostaje się po prostu poprzez naukę i pracę, natomiast tytuł „raw” wierni nadają umiłowanemu przywódcy, niosącemu światło myślicielowi o niezrównanej mądrości. Jakim bez wątpienia w każdym calu był raw Krushka. Bo czyż Dovid kiedykolwiek przemawiał publicznie, czy słyszano, by bodaj raz wygłosił, wzorem rawa, błyskotliwe *diwrej Tora*, nie mówiąc już o napisaniu wielkiego natchnionego dzieła? Nie, nie i jeszcze raz nie. Dovid nie miał pociągającej powierzchowności – był niski, grubawy, zaczynał łysieć – nade wszystko jednak brakowało mu duchowego żaru wuja. Nikt w gminie, nawet najmniejsze dzieci, nie zwracał się nigdy do Dovidy Kupermana per „rebe”. Ludzie mówili do niego, i o nim, po prostu „Dovid” albo „no, ten siostrzeniec rawa, ten jego p o m o c n i k”. I do tego ta jego żona! O Esti Kuperman wiadano, że jest jakaś dziwna, że coś jest z nią nie tak. Były to jednak sprawy należące do kategorii „laszon ha-ra” – „złego języka” – o których w domu modlitwy nie godzi się wspominać nawet szeptem.

Tak czy inaczej, w zgodnym przeświadczeniu wiernych raw nie miał w Dovidzie godnej siebie podpory. Powinni otaczać go wielcy badacze Tory, którzy, oddając się dniami i nocami nabożnym studiom, wznosiliby modły o odwrócenie surowego wyroku. Jaka szkoda, szeptał ktoś, że raw nie ma syna, który badałby księgi w jego imieniu dla wyjednania ojcu długiego życia. I co za szkoda, nieco ciszej dodawali inni, iż raw nie ma syna zdolnego zastąpić ojca, gdy ten odejdzie. No bo kto zajmie jego miejsce? Wszystkie te myśli, krążące po gminie od wielu miesięcy, w suchym upale synagogi nabierały szczególnej wyrazistości. Gdyż w miarę, jak raw tracił stopniowo siły, również i Dovid zdawał się z każdym tygodniem coraz bardziej pochylać i garbić, jakby jego ramiona przygniatał wyczuwalny ciężar spojrzeń, a piersi miazdżył napór zawiedzionych nadziei. Podczas nabożeństw rzadko podnosił oczy, nie odzywał się, przewracał tylko karty siduru, skupiając się na słowach modlitwy.

Nim nadeszło południe, żaden z mężczyzn nie miał już wątpliwości, że raw nigdy jeszcze nie wyglądał aż tak źle jak dzisiaj. Mężczyźni siedzący w kątach synagogi, gdzie dawnymi czasy mieściły się kominki albo przykuchenne spiżarnie, pochylali głowy i przesuwali się do przodu, szurgocząc krzesłami, byle znaleźć się jak najbliżej rawa, lepiej go widzieć i siłą własnej woli dodawać mu sił do wytrwania. W trakcie szacharitu, porannych modłów, upał nieustannie się wzmagał i wszyscy mężczyźni czuli, jak ich ciała, pomimo spodni, coraz bardziej przywierają do krzeseł. Przy błogosławieństwie *Mo-dim*, „Dziękujemy”, raw zdołał się wprawdzie pochylić, a potem wyprostować, ale zauważono, iż ręka, którą wyciągnął, aby uchwycić się przedniej ławki, jest przeraźliwie biała i drży, a na twarzy, mimo jej zdecydowanego wyrazu, przy każdym ruchu pojawia się niepewny grymas.

Nawet kobiety, które słuchały nabożeństwa z górnej, otaczającej synagogę z trzech stron galerii, spoglądając w dół przez siatkową zasłonę, nawet one widziały, że raw goni resztkami sił. W chwili gdy otwarto aron ha-kodesz, a z rodaków Tory wydobyło się, i owiało twarze wiernych, wonne cedrowe tchnienie, raw jakby odzyskał wigor i wstał. Jednakże sposób, w jaki usiadł na powrót po zamknięciu skrzyni, przypominał raczej bezwolne poddanie się grawitacji niż celowy akt. Opadł na ławkę, jakby moment mobilizacji odebrał mu resztkę sił. Nim prowadzący dotarł do połowy czytania z Tory, wszyscy zgromadzeni siłą woli pomagali rawowi wziąć każdy kolejny, ciężki, świszczący oddech. Gdyby nie siedzący obok niego Dovid, niechybnie osunąłby się na siedzenie. Dostrzegły to nawet kobiety.

Esti Kuperman obserwowała nabożeństwo z galerii dla pań. Każdej soboty rezerwowano dla niej honorowe miejsce w pierwszym rzędzie, tuż przed zasłoną z siatki. Prawdę mówiąc, pierwszy rząd pozostawał niezmiennie pusty, nawet w takie dni jak dzisiejszy, kiedy synagoga wypełniała się do ostatniego miejsca. Kobiety wołały stać w głębi

galerii niż zasiąść w pierwszym rzędzie. Esti co sobotę siedziała samotnie z podniesioną głową, ani jednym słowem czy spojrzeniem nie dając po sobie poznać, że dostrzega otaczające ją z obu stron puste miejsca. Siadała w pierwszym rzędzie, ponieważ tego po niej oczekiwano. Była żoną Dovida. Dovid siedział u boku rawa. Gdyby żona rawa nie odeszła z tego świata, miejsce Esti byłoby u jej boku. Gdyby Bóg w swojej łasce pobłogosławił jej małżeństwo potomstwem, Esti miałyby dzieci u swego boku. A tak siedziała samotnie.

Z dalszych rzędów galerii nie można było zobaczyć, jak przebiega nabożeństwo. Do siedzących tam kobiet, podobnie jak do komnat Nieba, które otwarte są jedynie dla głosów wzniesionych w śpiewie, docierała tylko muzyka. Esti mogła jednak ze swego miejsca obserwować przykryte owalami kapeluszy albo krążkami jarmułek głowy siedzących na dole mężczyźni. W miarę jak się w nie wpatrywała, bezosobowe kapelusze i jarmułki nabierały indywidualnych cech, a każda plama barwy utożsamiała się z konkretną postacią. Oto Hartog, krzepki, masywnie zbudowany przewodniczący rady, który w trakcie modłów przechadza się po synagodze, wymieniając od czasu do czasu parę słów z którymś z wiernych. A tamten to skarbnik synagogałny Levitsky, który podczas modlitwy kiwa się nerwowo, jakby coś dziobał. A ten oparty o ścianę, przysypiający i budzący się nagle, to sekretarz Kirschbaum. Kiedy patrzyła, jak wstają i siadają, wchodzą po stopniach bimy i wracają na miejsca, ogarniało ją niekiedy dziwne poczucie nierealności. Obserwowane z góry poruszenia upodobały się do jakiejś gry toczącej się na szachownicy – gry, w której okrągłe pionki przesuwają się zdecydowanie, choć bez wyraźnego celu. Niekiedy dochodzące z dołu, zawsze te same, dobrze znane pieśni i poruszenia ludzi wprawiały Esti w rodzaj transu, tak że zakończenie nabożeństwa umykało jej uwagi i była zaskoczona, gdy kobiety na galerii zaczynały jej życzyć dobrego szabatu, a w dole mężczyźni znikali stopniowo z pola widzenia. Zdarzało się nawet, że wracała do przytomności w opustoszałej, jak się zdawało, synagodze

i lękała się spojrzeć za siebie w obawie, czy na galerii nie zostały jakieś kobiety, które szepczą teraz za jej plecami.

Dzisiaj jednak, podczas ostatniego szabatu miesiąca tiszri, Esti zachowywała czujność. Usiadła razem z wszystkimi, gdy ubrane w królewski aksamit rodały Tory zamykano na powrót w aron ha-kodesz. Razem z pozostałymi wiernymi czekała cierpliwie, aż odmawiający szacharit opuści bimę, a jego miejsce zajmie mężczyzna mający poprowadzić musaf. I podobnie jak wszyscy, zaczęła się dziwić, gdy po pięciu minutach w synagodze nadal panowała cisza. Wychyliła się i spojrzała w dół przez zasłonę, usiłując wypatrzeć, co się tam dzieje. Szeroko otworzyła oczy. W kierunku bimy mozolnym krokiem posuwała się wsparta na ramieniu jej męża, zgarbiona postać otulonego w czarny paltot rawa.

Był to moment nabożeństwa, w którym dawnymi czasy raw zwykł przemawiać do wiernych, wysnuwając z odczytanych wcześniej fragmentów Tory bądź innych uczonych tekstów misterne i piękne nauki. Jednakże już od wielu miesięcy nie przemawiał do nich w ten sposób. Dziś rano, podobnie jak w wiele poprzednich sobót, na wiernych czekały rozłożone na krzesłach kopie któregoś z dawnych jego kazań. Raw był zbyt chory, by zabrać głos. A przecież tam na dole, w męskiej części synagogi, pokonywał teraz trzy stopnie prowadzące na bimę. Podniósł się szmer głosów, obiegł synagogę, po czym zapadła cisza. Raw przemówi.

Podniósł obie ręce – z rękawów paltota wysunęły się jego białe, chude ramiona. Gdy otworzył usta, jego głos zabrzmiał nadspodziewanie mocno. Był oratorem przez całe życie, w trakcie jego przemówień ludzie nie musieli nadstawiać uszu.

– Będę mówił tylko chwilę – powiedział. – Zdrowie mi nie dopisuje. Z pomocą Ha-Szem odzyskam siły.

Zebrani energicznie pokiwali głowami; parę osób zaklaskało, ale zostały natychmiast uciszone; synagoga to nie miejsce na teatralne owacje.

- Mowa - podjął raw. - Gdyby stworzony świat był muzycznym utworem, mowa byłaby jego refrenem, powracającym tematem. Tora poucza nas, iż Ha-Szem stworzył świat za pomocą mowy. Mógł powołać świat do istnienia siłą swej woli. Wówczas byłoby napisane: „Bóg pomyślał: Niech będzie światłość; i stała się światłość”. Ale nie. Mógł świat wyśpiewać. Albo ulepić z gliny własnymi rękami. Albo wywołać swym tchnieniem. Ha-Szem, nasz Król, On, Którego Świętość Niech Będzie Błogosławiona, nie uczynił żadnej z tych rzeczy. Dla stworzenia świata posłużył się mową. „Bóg rzekł: Niech będzie światłość; i stała się światłość”. Stało się to, co powiedział.

Raw przerwał i gwałtownie zakasłał charkotliwym, piersiowym kaszlem. Kilku mężczyzn poderwało się ku niemu, lecz powstrzymał ich gestem dłoni. Wsparł się na ramieniu Dovidy, wydał z siebie trzy bolesne kaszlnięcia, po czym zamilkł. Odetchnąwszy ciężko, podjął kazanie.

- Weźmy samą Torę. Księgę. Ha-Szem, dla objaśnienia swego świata, mógł być dać nam obraz albo rzeźbę, albo las, albo istotę, albo tkwiącą w naszych umysłach ideę. Lecz On dał nam księgę. Słowa.

Tu raw przerwał i rozejrzał się dokoła, wodząc wzrokiem po milczących twarzach. W chwili gdy wydawało się, że milczenie trwa o moment za długo, podniósł rękę i głośno uderzył o pulpit.

- Jakąż wielką moc dał nam Wszchemocny! Moc mówienia, jak On. Niepojęte! Z wszystkich istot, jakie żyją na ziemi, my jedni umiemy mówić. Co to oznacza? - Uśmiechnąwszy się lekko, ponownie powiódł wzrokiem po sali. - To, że posiadliśmy częśćkę Jego mocy. Nasze słowa mają niejako realną moc. Mogą stwarzać i unicestwiać światy. Mają ostrość noży. - Raw powiódł ręką wkoło, jakby żął sierpem. Uśmiechnął się. - Nasza moc nie może się, rzecz jasna, równać z mocą Ha-Szem. O tym też nie wolno zapominać. Nasze słowa nie są jedynie pustymi oddechami, lecz nie są Torą. Tora mieści w sobie świat. Tora to świat. Drogie dzieci, pamiętajcie, że wszystkie nasze słowa, wszystkie nasze opowieści

razem wzięte mogą być najwyżej komentarzem do jednego wersetu Tory.

Raw odwrócił się i szepnął parę słów do Dovidą. Dwaj trzymający się razem mężczyźni zstąpili wolno po stopniach bimy i wrócili na swoje miejsca. W synagodze panowała cisza. Po dłuższej chwili chazan zebrał się w sobie, aby rozpocząć musaf.

Prowadzący modły chazan najwidoczniej wzięł sobie słowa rawa głęboko do serca, ponieważ zdawał się osobliwie zważać na każdą literę i każdą sylabę każdego słowa. Mówił wolno, ale wyraźnie i z mocą, jak gdyby po raz pierwszy słyszał i doceniał poszczególne słowa.

- *Mechalkel chajim be-chesed* - powiedział bez emfazy. - Łaska wie troszczysz się o żywych, wskrzeszasz umarłych w wielkim miłosierdziu.

Wierni poszli za jego przykładem, coraz głośnie i dobitniej wypowiadając responsy, aż na koniec mówili jednym wielkim głosem.

Kiedy przyszło do odmawiania kadiszu, chazan był spocony i błady.

- *Naaricecha we-nakdiszecha* - powiedział.

- Święty, Święty, Święty - odpowiedzieli zgromadzeni, unosząc się w górę i wspinając na palce. Niektórym, zapewne od upału, lekko kręciło się w głowach. - Święty, Święty, Święty jesteś Panie.

I właśnie w chwili, gdy wszyscy wierni wspinali się w uniesieniu ku Wszchemocnemu, w synagodze rozległ się łoskot, jakby runął jeden z potężnych cedrów Libanu. Mężczyźni poodwracali głowy, kobiety powyciągały szyje. Ujrzeni rawa leżącego na jednym boku na podłodze koło ławki. Wydał z siebie przeciągły jęk, lecz leżał nieruchomo, i tylko lewa noga spazmatycznym ruchem stuknęła o drewnianą ławkę, a głośny, głuchy dźwięk uderzeń rozchodził się echem po synagodze.

Zapadła cisza, w której można było niemal usłyszeć napór pulsującej w skroniach krwi.

Pierwszy ocknął się Hartog. Podbiegł do rawa, odsuwając Dovida na bok. Rozluźniwszy leżącemu krawat, wziął go za rękę i zawołał: „Trzeba wezwać ambulans! I przynieście koce!”.

Pozostali mężczyźni popadli w chwilową konfuzję. Wydany w szabat, i to w synagodze, okrzyk „wezwać ambulans!” brzmiał równie niewiarygodnie jak żądanie porcji bekonu albo dwóch kwart krewetek. Dopiero po paru chwilach dwóch młodszych mężczyzn ocknęło się z odrętwienia i ruszyło w kierunku drzwi, żeby pobiec do telefonu.

Esti Kuperman stała bez ruchu na galerii, chociaż niektóre kobiety zbiegały już na dół, gdzie mogłyby się do czegoś przydać.

Esti patrzyła na swego męża, który gładził wuja po rękę, jakby starał się dodać starcowi otuchy. Spoglądając na niego z góry, zauważyła, że włosy Dovida są jeszcze bardziej przerzedzone, niż sądziła. Bezwiednie odnotowała w myślach, że Hartog oddalił się od leżącego rawa, zostawiając go pod opieką innych lekarzy z kongregacji. A teraz odprowadza na bok kilku członków synagogałnej rady i coś do nich mówi. Opuściła wzrok na swoje chude dłonie, które ścisnęły kurczowo balustradę; miała całkiem zbielełe paznokcie.

I nagle poczuła na twarzy powiew potężnych adamaszkowych skrzydeł. Czują osaczające ją, bijące powoli z ciężkim, mozołnym łopotem skrzydła, które nieskończenie powolnym, kolistym ruchem z trudem wzbijały się w górę, unosząc ciężar nieporównanie większy niż dusza starego, znękanego człowieka z cieniem w płucach. Powiew skrzydeł odpłynął, pozostawiając w powietrzu słabnące z wolna pulsowanie.

Esti ogarnęło znużenie, nie była zdolna się poruszyć. Dovid zarwał głowę ku galerii, utkwiał wzrok w miejscu, w którym siadywała jego żona. „Esti!” – zawołał żałośnie, z przestraczem. Wówczas Esti oderwała ręce od balustrady i niepewnym krokiem ruszyła w kierunku schodów. Zdawała sobie niejasno sprawę, że kobiety dotykają

jej, wyciągają do niej ręce, jakby... chciały ją pogłaskać? Podeprzeć? Nie była pewna. Szła ku wyjściu z jedną tylko myślą: musi zejść na dół, może tam być potrzebna.

Kiedy jednak znalazła się na schodach, w jej głowie pojawiła się nagle inna, radosna, a zarazem niestosowna myśl, która napełniła ją wstydem. Z każdym wiodącym w dół stopniem powracał natrętny szept: „Jeżeli tak, to Ronit przyjedzie. Ronit wróci”.

Przyśnił mi się ubiegłej nocy. Nie on sam. Poznałam go po słowach. Śniło mi się, że jestem w ogromnym pokoju pełnym książek, które stały na sięgających od podłogi po sufit półkach, półki ciągnęły się we wszystkie strony coraz dalej i dalej, a im dalej sięgałam wzrokiem, tym więcej półek z książkami pojawiało się na obrzeżach pola widzenia. Wiedziałam, że książki i słowa są wszystkim, co jest, i wszystkim, co kiedykolwiek było i będzie. Zaczęłam iść przed siebie; szłam bezgłośnie, a gdy spojrzałam pod nogi, zobaczyłam, że stąпам po słowach, ponieważ wszystko, co mnie otacza – ściany i sufit, stoły, lampy i krzesła – to są słowa.

Szłam i szłam; wiedziałam, dokąd idę i co tam znajdę. Dotarłam do długiego, szerokiego stołu. „Stół”, powiedziałam – jestem stołem. Wszystko, czym kiedykolwiek byłam czy będę, jest stołem. Na stole leżała książka. Książka była nim. Poznałam go po słowach. Prawdę mówiąc, poznałabym go, gdyby był lampą albo rośliną w doniczce, albo makiętą budynku, albo autostradą na Long Island. Ale był książką – i nic dziwnego. Na okładce widniały proste, dobre słowa. Nie pamiętam jakie.

Wiedziałam, jak to w snach bywa, że muszę tę książkę otworzyć. Wyciągnęłam rękę, otwarłam książkę i przeczytałam pierwszy wiersz. Słowa, które czytałam, rozbrzmiewały echem po bibliotece. Były to słowa, które Bóg wyrzekł do Abrahama: „Wynijdź z ziemi twej do ziemi, którą ci wskażę!”.

No tak, przyznaję się, to ostatnie sama wymyśliłam. Ale nic więcej. Obudziłam się z bólem głowy, co nigdy mi się nie zdarza; czułam się, jakby w ciągu nocy słownik rozbił się na mojej głowie. Musiałam długo stać pod gorącym prysznicem, żeby z mózgu wypędzić słowa, a z ramion uczucie napięcia, no i oczywiście zrobiło się późno, wyszłam za późno do pracy, szłam Broadwayem, rozglądając się za żółtą taksówką, która oczywiście nadjeżdża tylko wtedy, kiedy jej nie potrzebujesz, aż nagle nad samym uchem usłyszałam czyjś głos:

- Przepraszam, czy jest pani Żydówką?

Stałam jak wryta i o mało nie podskoczyłam, bo głos pochodził z tak bliska, a pytanie było tak niespodziewane. Zwłaszcza w Nowym Jorku, gdzie praktycznie każdy jest Żydem. Odwróciłam się, no i masz! - dałam się nabrać na najprostszy w świecie kawał, bo oto zobaczyłam przed sobą przyzwoicie ubranego jegomościa ze starannie przystrzyżoną bródką, trzymającego pod pachą plik ulotek. Najwidoczniej wybrał się na miasto nawracać Żydów na jakąś superidealną religię.

W gruncie rzeczy wart był współczucia. Ale po pierwsze, z powodu spóźnienia nie byłam w humorze. A po drugie, miałam ten sen. Kiedy indziej dałabym mu spokój i poszła swoją drogą. Ale zdarzają się takie poranki, kiedy po prostu musisz się z kimś pokłócić. Więc powiedziałam:

- Tak, jestem Żydówką. A bo co?

Tyle że powiedziałam to bardzo brytyjskim akcentem, co wyraźnie zbiło go z tropu. Z jednej strony, korciło go, by powiedzieć: „Ach, pani jest Angielką!”. Ponieważ był Amerykaninem, a oni lubią mi to wypominać. Z drugiej wszelako strony, Pan Bóg szeptał mu do ucha: spójrz, mój drogi, oto kobieta, którą możesz sprowadzić na drogę prawdy. Jegomość zebrał się w sobie. Do ratowania dusz i zdobywania światów.

- Czy mógłbym panią namówić na udział w darmowym seminarium poświęconym historii Żydów?

Ach, więc to tak. Jeden z tych. Nie oferuje żadnej nowej religii, tylko starą; przywraca ludzi na łono wiary. Darmowe seminarium poświęcone historii Żydów, w piątki kolacja przyprawiona szczyptą biblijnych przykazań. Może to dobre dla ludzi, którzy nie mieli z tym nigdy do czynienia. Ale nie dla mnie. Na dobrą sprawę sama mogłabym coś takiego poprowadzić. Więc powiedziałam:

- Nie, dziękuję. Jestem zbyt zajęta.

Już miałam się odwrócić i odejść, kiedy mężczyzna dotknął mojego rękawa; musnął go tylko, jakby chciał pomacać materiał płaszczka, ale to wystarczyło, żeby mnie wkurzyć. Sprawilo, że niemal zatęskniłam za młodym lubawickim chasydem, od którego pachnie na metr potem i rozpaczą i który nigdy, przenigdy nie ośmieliłby się dotknąć kobiety. Tymczasem gość sięgnął po ulotkę i podał mi ją, mówiąc:

- Wszyscy jesteście zajęci. Żyjemy w gorączkowych czasach. Ale dla naszego starożytnego dziedzictwa warto wygospodarować jakąś chwilę. Proszę wziąć ulotkę. Nasze seminaria odbywają się w różnych punktach miasta i w dowolnej chwili można się do nich przyłączyć.

Wzięłam ulotkę. Szybko rzuciłam na nią okiem, zamierzając odejść. Popatrzyłam jeszcze raz, tym razem dokładniej, nadal nie odchodząc. Musiałam przeczytać kilka razy, zanim pojęłam, co naprawdę mam przed oczyma. Jaskrawożółta nalepka na okładce głosiła: „Nadzwyczajne zebranie w poniedziałek wieczorem – Rabbi Tony będzie mówił o książce rawa Krushki *Dzień po dniu* i o tym, jak stosować jego nauki w codziennym życiu”. Wiedziałam oczywiście, że napisał książkę, lecz kiedy jego książka zdążyła zawędrować aż tutaj? Kiedy spłodził nauki zdolne pomagać w codziennym życiu? I kiedy te jego nauki zainteresowały ludzi podpisujących się jako „Rabbi Tony”?

- Co to jest? - spytałam, wskazując palcem żółtą nalepkę.

- Interesuje panią raw Krushka? To będzie znakomity wykład. Docierający do istoty jego nauczania. Bardzo inspirujący. Biedaczyna. W końcu to nie jego wina. Zapytałam:

- Jak pan się nazywa?

Gość uśmiechnął się szeroko.

- Chaim. Chaim Weisenberg.

- No to powiedz mi, Chaimie, po co to robisz?

- To znaczy co?

- No, po co wystajesz na rogach ulic i rozdajesz przechodniom ulotki? Płacą ci za to? A może szantażują?

Chaim wytrzeszczył oczy.

- Ależ skąd. Jestem wolontariuszem.

- Czyli robisz to z dobrego serca?

- Bo uważam, że tak trzeba. Nasze dziedzictwo...

Nie dałam mu skończyć.

- No tak, dziedzictwo. Ale ty przecież nie sprzedajesz dziedzictwa. Przyznaj się, Chaimie. Sprzedajesz religię.

Lekko skonsternowany, rozłożył ręce.

- Nie nazwałbym tego sprzedawaniem. Powiedziałbym raczej...

- Nie nazwałbyś tego sprzedawaniem? A czy za to swoje rozdawanie ulotek nie dostajesz czegoś w zamian? - Usiłował się wtrącić, ale ja pruć dalej. - Czy za sprowadzanie zbłąkanych Żydów na powrót do owczarni nie czeka cię na tamtym świecie specjalne miejsce? I dlatego to robisz? Dla zysku? Spójrz prawdzie w oczy, Chaimie, i przyznaj się, że robisz to dla własnej korzyści.

Teraz był już zły.

- Nie. Wcale tak nie jest. To nieprawda. Pan Bóg nakazał...

- Aha! Nareszcie dochodzimy do sedna. Pan Bóg ci nakazał. Robisz to, co robisz, bo uważasz, że Bóg chce tego od ciebie, czy tak? Bóg każe ci, Chaimie, odnajdywać zbłąkanych Żydów i doprowadzać ich z powrotem do owczarni, zgadza się?

Chaim przytaknął. Niektórzy przechodnie oglądali się za nami, ale nikt nie przystanął.

- No dobrze, przypuśćmy, że Pan Bóg rzeczywiście kazał ci to robić. Ale czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że niektórzy z nas nie chcą, aby ich doprowadzano? Ani odnajdywano? Ponieważ niektórzy z nas byli już w owczarni i stwierdzili, że jest dla nich za ciasna i ograniczona, że bardziej przypomina więzienie niż bezpieczne schronienie. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że Bóg może nie mieć racji?

Chaim otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Było oczywiste, że na żadne seminarium nie dam się namówić. Podarłam ulotkę na strzępy i obsypałam go nimi, jakby to były konfetti. Nie będę ukrywać, jestem specjalistką od teatralnych gestów.

Kiedy przed stacją metra obejrzałam się, by na niego spojrzeć, jegomość wciąż stał i patrzył za mną, trzymając w ręku plik oklapniętych ulotek.

Doktor Feingold każe mi się ćwiczyć w „odczuwaniu własnych uczuć”, więc w interesie tych ostatnich powinnam być zadowolona, że ten cały Chaim aż tak zalał mi za skórę. On i jego banda głupców sunących rządkiem na seminarium poświęcone „naukom rawa Krushki” tłukli mi się po głowie przez całą drogę do pracy. W biurze nadal nie mogłam przestać o nich myśleć, co niemal nigdy mi się nie zdarza; czuję się najlepiej, kiedy praca wypiera mi z głowy wszystkie inne sprawy. Pracuję w firmie zajmującej się doradztwem finansowym; jestem analitykiem. Jest to praca na pełny regulator, angażująca cały potencjał umysłowy. Któż nie marzy o takiej posadzie? O wyzwaniu mieszczącym się w granicach naszych możliwości, a zarazem wymagającym absolutnej mobilizacji i koncentracji. Które nie zostawia miejsca na niepokoje, zwątpienia czy duchowe rozterki. Godzimy się niepodzielnie oddawać naszej pracy, ponieważ tylko w ten

sposób możemy jej sprostac. Doktor Feingold pyta: „Ronit, czy to znaczny, że nie masz czasu na myślenie?“, i może ma rację, chociaż podejrzewam, że przecenia jednak wartość introspekcji. Tak czy inaczej, lubię swoją pracę i jestem w niej naprawdę dobra. Do- stałam właśnie nowy kontrakt do opracowania, który wymaga absolutnego skupienia, żeby przypadkiem nie zapodziać gdzieś jakiegoś miliona dolarów, a tymczasem Chaim przez cały dzień nie wychodził mi z głowy. Wyobrażałam go sobie rozdającego na ulicy te swoje ulotki. Przechodnie mijali go, nie zatrzymując się, ale byli i tacy, którzy sięgali po broszurę. Część z nich zadzwoni pod podany numer, a niektórzy zapiszą się na seminarium. Chaim był dobrze ubrany. Ulotki były wydrukowane na eleganckim pa- pierze. Muszą nieźle prosperować. Zapewne setki owieczek suną teraz do owczarni, powłócząc nogami. W pewne pomieszczenie wprawiła mnie myśl o biznesowej stronie przedsięwzięcia – sto- sunku między nakładami a przychodami i rachunku zysków. Jeśli bowiem da się wycenić duszę, to pewnie ktoś taki jak ja siedzi te- raz przy komputerze, przekładając religijną żarliwość na cyferki.

Tak, tak, wiem, doktor Feingold powiedziała by pewnie, że myślenie o t y m to z mojej strony kolejny wybieg, aby nie myśleć o i n n y c h sprawach, ale nic nie poradzę na to, że zdarza mi się przechytrzyć samą siebie.

Tkwiałam w pracy do późnego wieczoru, usiłując nadrobić to, czego nie udało mi się wykonać w ciągu dnia, ale to oczywiście nigdy się nie udaje, ponieważ człowiek jest z godziny na godzinę coraz bardziej zmęczony i w rezultacie wykonanie każdej czyn- ności trwa coraz dłużej i dłużej. W pewnej chwili zorientowałam się, iż w naszym dziale zostały tylko dwie osoby – ja i Scott, i po- myślałam, że zaraz do mnie podejdziesz i spróbuje pogadać – albo nie. A ponieważ sprawdziła się druga ewentualność, która jest jeszcze bardziej krępująca, to zebrałam swoje rzeczy i pojecha- lam do domu. Nie mówiąc Scottowi dobranoc.

Nieuchronnie – podróże pociągiem, jak wiadomo, skłaniają do rozmyślań – myśli o Chaimie i „Rabbim Tonym” doprowadziły mnie do myśli o Londynie, a to nie wróży nic dobrego. Po powrocie do domu uświadomiłam sobie, że zrobiło się ciemno i jest piątkowy wieczór, a taka świadomość nie sprzyja dobrym nastrojom. Pomyślałam o matce, wróciło jedno z owych wyjątkowo wyraźnych – dlatego chyba, że rzecz często się powtarzała – wspomnień o niej, jakie zachowałam w pamięci: jest piątkowy wieczór i matka zapala świece w wielkich srebrnych świecznikach, ozdobionych gałązkami srebrnych liści i kwiatów.

Wiedziałam, że od tej chwili może być tylko coraz rzewniej. A ponieważ nie czułam się na siłach spędzić jednego z owych wieczorów, jakie czasami mi się zdarzają, poświęconych rozkoszonym rozmyślaniom o tym, jak to oprócz niej nikt nigdy mnie nie kochał, nalałam sobie solidnego drinka i poszłam spać.

Tej nocy o nikim ani o niczym nie śniłam, więc było świetnie. Spałam do późna. Wybrałam się na 83. ulicę do Muzeum Historii Naturalnej, ale okazało się, że muzeum jest zamknięte, a było za zimno na to, by posiedzieć w parku. Mogłam do kogoś zadzwonić, umówić się na kolację albo pójść do kina, ale zamiast tego patrzyłam tylko, jak mija dzień, a godziny ścigają się ze sobą do zachodu słońca.

O ósmej wieczorem, kiedy mniej więcej od godziny było już ciemno i właśnie miałam zamówić jedzenie do domu, zadzwonił telefon. W słuchawce najpierw była cisza, a potem ktoś wziął głęboki oddech. Odgadłam, że to Dovid, nim zdążył się odezwać. Zawsze robi tak przez telefon – milczy. Jakby nie mógł się zdecydować, nie wiedząc, czy będziesz zadowolony, słysząc jego głos.

A ponieważ poznałam po ciszy, kto dzwoni, kiedy mówił: „Halo, czy to ty, Ronit?”, zdążyłam pomyśleć: a więc jednak zachowałeś moje pocztówki. Na żadną nie odpisałeś, ale zachowałeś,

notowałeś nowe adresy i numery telefonu. Zabawna rzecz, ale nie wpadło mi do głowy zadać sobie pytanie, dlaczego w końcu zadzwonił. Głównie koncentrowałam się na tym, żeby nie wykrzyknąć: „Do jasnej cholery, dlaczego wcześniej nie zadzwoniłeś?!”.

- Czy to Ronit?

Zdałam sobie sprawę, że nie odpowiedziałam na jego pytanie.

- Tak, to ona. - Rany boskie, co za amerykanizm!

- Ronit?

Nie miał pewności.

- Tak, to ja. Kto mówi? - Nie zamierzałam ułatwiać mu sytuacji.

- Ronit. Tu Dovid.

- Cześć, Dovid. Co słychać? - zapytałam beztrosko, jakby od naszej ostatniej rozmowy upłynęło sześć tygodni, a nie lat.

- Ronit - powtórzył. - Ronit.

Dopiero słysząc, jak Dovid bezradnie powtarza w kółko moje imię, przyszło mi na myśl, że jakiś niebywały kataklizm musiał wstrząsnąć tamtym światem, skoro Dovid zdecydował się wreszcie sięgnąć po moje pocztówki, odnaleźć mój numer telefonu i zadzwonić. I pomyślałam - tak, to jasne. Ponieważ nic nie dzieje się przypadkiem.

- Ronit - powtórzył Dovid.

- Dovid, co się stało?

Wtedy on wziął głęboki oddech i powiedział, że umarł mój ojciec.

RONIT JEST DORADCZYNIĄ FINANSOWĄ,
MIESZKA W NOWYM JORKU. WYRWAŁA
SIĘ Z KONSERWATYWNEJ RODZINY,
ŻEBY STAĆ SIĘ NIEZALEŻNA
I SAMOWYSTARCZALNA, ŻEBY MÓC
SAMEJ DECYDOWAĆ, JAK ŻYĆ, CO ROBIĆ
I Z KIM SYPIAĆ. JEDNAK KIEDY UMIERA
JEJ OJCIEC, SZANOWANY RABIN,
PRZESZŁOŚĆ WYCIĄGA PO NIĄ RĘCE.

Przyjazd do ortodoksyjnej dzielnicy żydowskiej
w Londynie, gdzie dorastała, przypomina
uderzenie obuchem. Spotyka tam Esti – żonę
rabina – która kilkanaście lat wcześniej
towarzyszyła jej w poszukiwaniu tożsamości
seksualnej. Dzieli je przepaść, łączy coś więcej
niż wspólna młodość. Co okaże się silniejsze?

W 2017 roku powieść zekranizował Sebastian
Lelio, a w rolach głównych wystąpiły
Rachel Weisz i Rachel McAdams.

cena 37,90 zł

www.morginesy.com.pl



w sprzedaży także

